

Łukasz Pawłowski

BŁOTO

Ona i On. On kilka lat starszy od Niej.

Pokój, w wiejskim domu, wygląda tak, jakby co chwila coś z niego zniknęło, coś ubywało. Ten proces już trwa od dawna, więc w pomieszczeniu są tylko niezbędne sprzęty – stół, dwa łóżka, dwa krzesła, wiadro jako śmietnik, wyliniaty dywan na podłodze. Na ścianie półka, na półce kilka narzędzi ciesielskich i Biblia.

SCENA 1

On sam w domu. Zamiatą podłogę. Na stole kilka, robionych przez niego, drewnianych talerzy.

On – Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje; przyjdź królestwo Twoje; bądź wola Twoja jako w niebie tak i na ziemi; chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj; i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom; i nie wódz nas na pokuszenie; ale nas zbaw ode złego... Ojcze nasz, któryś jest w niebie święć się imię Twoje; przyjdź królestwo Twoje; bądź wola Twoja jako w niebie tak i na ziemi...

On – Wszędzie włazi... Wciska się... Trza by zamurować okna i drzwi, żeby się nie dostawał. Człowiek nie ma szans... Nie ma szans, nie ma szans... Każdą szparą, każdą dziurą, z każdym oddechem nawet...

On – ...chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj; i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom; i nie wódz nas na pokuszenie; ale nas zbaw ode złego... Ojcze nasz, któryś jest w niebie święć się imię Twoje; przyjdź królestwo Twoje; bądź wola Twoja jako w niebie tak i na ziemi; chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj; i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom; i nie wódz nas na pokuszenie; ale nas zbaw ode złego... Amen... Amen... Amen...

Podchodzi do kalendarza wiszącego na ścianie, przegląda go i liczy pod nosem. Kalendarz jest stary, pokreślony, wielokrotnie przerabiany na kolejne lata.

On – Dwa...Sześć... Dziesięć... Mhmm... Szesnaście... Dwadzieścia... Dwadzieścia trzy... Czterdzieści trzy... Pięćdziesiąt trzy i jeszcze drugie tyle... Zaraz... Sto sześć... I jeszcze nas nie starło na proch. Niebo zamiecione jak moja podłoga. Spali nas w końcu, przetopi. Słońce ma najtwardsze łomy. Wszystko skruszą, wszystko zgniotą. Sto sześć tygodni bez ani ani... Ani kropli.

On siada przy stole i zaczyna polerować drewniany talerz papierem ściernym. W tym czasie zaczyna się modlić.

On – Ojcze nasz, któryś jest w niebie święć się imię Twoje; przyjdź królestwo Twoje; bądź wola Twoja jako w niebie tak i na ziemi; chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj; i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom; i nie wódz nas na pokuszenie; ale nas zbaw ode złego... Ojcze nasz, któryś jest w niebie święć się imię Twoje; przyjdź królestwo Twoje; bądź wola Twoja jako w niebie tak i na ziemi; chleba naszego...

Wchodzi Ona. Z trzema butlami plastikowymi po dwulitrowej Coca Coli. Butelki są wypełnione wodą. Butelki są stare, zużyte, poobijane. Są związane sznurkiem, żeby było łatwiej nieść.

Ona – No, weź ode mnie.

On bierze od niej ten butelkowy różaniec, stawia na podłodze. Odkręca jedną butelkę, nalewa wody do kubka i duszkiem wypija. Nalewa ponownie i daje kubek Jej. Ona bierze kilka łyków i siada na krześle.

Ona – Musimy oszczędzać.

On – Zawsze tak mówisz. A potem znów idziesz na żebry.

Ona – To nie żebry. Woda jest wspólna.

On – Studnie nie są.

Ona – Wyszła kolejna, u Dobrzyniów. Malicz mówi, że jak się popatrzy z głową to widać, że to gównno idzie z dołu na północ. Pierwsza wyszła Luśkom, potem Baragi, my i wreszcie Dobrzynie. Malicz mówi, że kolejna może być jego.

On – Kiedy?

Ona – Tydzień, dwa... Miesiąc... Kto wie? Jeśli deszcz nie przyjdzie wysuszy nas stąd, wykruszy, jak błoto ze spodni.

On – Wyjedzie?

Ona – Malicz? A dokąd on miałby wyjechać? Prędeż się rzuci do studni i tę resztkę wody zepsuje. Malicz nigdzie nie pojedzie. Zbiera teraz wodę w baniaki. Ma ich dziesiątki, w stodole. Jak on chce to upilnować? Powiedział, że u niego już nie zatankujemy.

On – Gnój.

Ona – Człowiek. Gadałam z Zagarem. W tym tygodniu możemy wziąć jeszcze od nich, a potem się zobaczy. Dobrze pozamiatałeś. Prawie nic nie zalega.

On – To ta miotła.

Ona – Skąd masz?!

On – Od Baragów wziąłem. Prawie nowa. Widać, że kupili ją niedługo przed wyjazdem. Ale nie zabrali.

Ona – Wylazłeś?!

On – Co?

Ona – Gównno! Kiedy cię poniosło?

On – No... Jak ty poszłaś, to i ja jakoś tak po tobie. Bo zacząłem zmiatać i...

Ona – Po coś tam laź?!

On – Bo nasza szczotka starła się na kość. Jakbym grabiami orał...

Ona – Trzeba było mówić, to ja bym poszła.

On – Ty masz tyle na głowie.

Ona – Tylko tam byłeś?

On – Tak.

Ona – Nigdzie więcej?

On – Nie.

Ona – Widziałeś kogoś?

On – Nie. Tam przecież pusto. Nikogo...

Ona – Masz pilnować domu! Takie masz zadanie! Najważniejsze zadanie w tej cholernej wsi! Nie wychodzić i nikogo nie wpuszczać! Tak się umówiliśmy.

On – Tak. Ale tu przecież nikt nie przychodzi. Nikt do nas nie zachodzi.

Ona – Nie przychodzą, bo wiedzą, że pilnowane jest. Bo wiedzą, że ty tu jesteś i nikomu nie dasz wejść. Jak tylko się rozejdzie, że u nas pusto jak u Luzków albo Baragów to zaraz zaczną szabrować i ci tę nowa miotłę zajebią bez mrugnięcia okiem. Pilnować tu masz, twojego, mojego, naszego...

On – Wiem, wiem...

Ona – Kiedy wychodzę, to ja nie mogę się martwić, że w tym samym momencie ktoś tu szabruje między garami. A jakby nam butle ukradli to w czym wody naniosę?

On – Ale ty je zabierasz, kiedy wychodzisz. Jak ciebie nie ma to i butli tu nie ma.

Ona – Umawialiśmy się, czy nie!?

On – Tak.

Ona – Ty pilnujesz domu, ja chodzę za wodą, wysyłam talerze...

On – Wysłałaś dziś?

Ona – Umawialiśmy się?!

On – TAK!

Ona się uspokaja.

Ona – Trzy wysłałam. W skrzynce były pieniądze za poprzednie, płacą coraz mniej. Znaczą tyle samo, ale to tyle samo coraz mniej warte. Ale rozumiemy się? Siedzisz na dupie i dobytku pilnujesz. *(patrzy na talerze na stole)* Ładne. Pójdą szybko.

On kiwa głową.

Ona – Kupiłam chleb i konserwę. Jak chcesz możesz pokroić chleb i otworzyć konserwę.

On – Za wcześnie.

Ona – Nie jesteś głodny?

On – Nigdy nie jestem głodny.

Ona – Ale jesz.

On – Trzeba, to jem.

Ona – Ale konserwy lubisz.

On – Lubię. Chleb też.

Ona – Ukrój mi piętke.

On – *(śmieje się)* Dupkę.

Ona – Piętke.

On – Dupkę *(śmieje się)*.

Ona – Sam jesteś dupka. Ja z chleba jem piętke. Jak będę chciała dupkę to ci oderżnę twoją. Mała nie jest.

On – Masz piętke.

Ona – Nalej mi jeszcze.

On – *(żartobliwie)* Nie oszczędzasz?

Ona – Dupkę oszczędzaj.

On się śmieje.

Ona – Dobrze pozamiatałeś. Nic nie zalega. Nalej mi... Pół kubka... Pół kubka i już...

On – *(nalewa, wsłuchuje się w dźwięk lanej do kubka, wody)* Lubię to.

Ona – Tak szumi życie.

On – Bulga...

Ona – Bulga? Bulgoce raczej...

On – Bulga... Bulga, Bulga....

Ona – Ty sam jesteś bulga, bulga.

Ona pije.

Ona – Do Woroniów przyjechał jakiś kuzyn czy szwagier...

On – Kuzyn?

Ona – No przecież nie letnik. Mówię ci, bo może łązić po okolicy bez ładu i składu, zaglądać, zagadywać.

On – Spacerować.

Ona – Od spacerowania są spacerniaki w więzieniu. W życiu się nie spaceruje, w życiu się po coś idzie, a jak się nie ma po co iść, to się na dupie siedzi.

On – Ale można pójść do lasu albo nad rzekę.

Ona – Nad rzekę... Nasza Zgniłka wyschła dobre pół roku temu.

On – Więcej...

Ona – A ty skąd wiesz, jak gospodarstwa masz pilnować, a nie się po wsi szlajać?

On – No mówiłaś mi, że już mostów nie trzeba używać i że Malicz korytem zamiast drogą jeździ, bo ma bliżej.

Ona – Tak mówiłam? Bo bliżej ma rzeką, to fakt.

On podchodzi do kalendarza i czegoś tam szuka.

On – O! *(liczy)* Trzydzieści dwa tygodnie temu, wyschła Zgniłka, tu zaznaczyłem, widzisz?

Ona – Wyschła to wyschła, nieważne kiedy, ważne, że najpierw ona wyschła, a potem studnie zaczęły ginąć. A tobie domu opuszczać nie można, bo obcy się kręcą, a i swoi teraz jak obcy, każdy patrzy jak przeżyć, czyimś kosztem. Więc nigdzie nie łąż, rozumiesz?

On – Przecież nie chodzę nigdzie, po zmiotkę byłem tylko i nic się nie stało.

Ona kładzie się w ubraniu na łóżko. Zdejmuje buty, wyciąga nogi.

Ona – Ktoś widział w miasteczku dyrektorę.

On – Kogo?

Ona – Wiesz kogo.

On – Nie.

Ona – Dyrektorkę.

On – Szkoły?

Ona – No.

On – Niemożliwe.

Ona – Nie wiem. Ktoś ją widział...

On – Kto?

Ona – Nie wiem. Ludzie bzdury gadają. Z nudów. Albo żeby ich ktoś słuchał. Najgorszą durnotę wymyślą, żeby tylko ich ktoś słuchał. Prawda już mało kogo interesuje. A zresztą, ludzie są teraz tak ostrożni, że nikt się już dziś nie nabierze na prawdę. Taka prawda...

On – Niemożliwe.

Ona – Co?

On – Że ktoś ją widział.

Ona – Może wyjechała, wtedy, po prostu...

On – Podobna może jakaś.

Ona – Wyjechała. A teraz wraca...

On – Po co?

Ona – Kto? Co? Po co?! A skąd ja mam wiedzieć. Mówię ci, co ludzie gadają, ale czy mówię, że masz w to wierzyć, że masz o tym myśleć? Nie! Więc nie zawracaj mi dupy. Wyjechała nie wyjechała, wróciła nie wróciła, żyje nie żyje... Kogo to teraz obchodzi?

On – Ale jak w r ó c i ł a?

Ona – Przestań!

On – I po co? Woda się kończy!

Ona – Tu wszystko się kończy! Tu nic nie ma. Tu można tylko zostać, ale tu na pewno nie ma do czego wracać.

On – Więc po co ona... Jak?

Ona – Nie wiem. Nie myśl o tym. Wstaw wodę. Umyję włosy.

On – To niemożliwe...

Ona – Wstaw wodę. Strasznie suche są łamią się na wietrze. A tym gadaniem ludzkim się nie przejmuj. Ale nie wyłaź już nigdzie, słyszysz?

On wychodzi do kuchni. Słysząc jak wlewa wodę do gara i stawia na kuchni drzewnej. Rozpala ogień, dorzuca drew.

On (*z kuchni*) – Przecież ja tylko po zmiotkę...

Ona – A jak ci czegoś potrzeba to mów, przyniosę. Tylko mów. (*do siebie*) Oszczędzać można na wszystkim, ale nie na byciu kobietą. A jak mi włosy wypadną, to kim będę?

On (*z kuchni*) – Będiesz sobą, tylko łąsą.

Ona – Jak mi włosy wypadną, to nie wiem kim będę, bo nigdy nie byłam łąsą. Będę kimkolwiek, kimś obcym, ale na pewno nie sobą.

On (*z kuchni*) – Mnie raz ostrzygli na łąso, przez dyrektorkę.

Ona – Wiem.

On – (*z kuchni*) I co? I nic. Odrośły.

Ona – Jak włosy wypadną, to nie odrastają. To nie jest strzyżenie tylko łąsienie. Ty nie wyłysiałeś tylko się ostrzygłeś.

On – (*z kuchni*) Ogolili mnie.

Ona – Już wtedy byłeś inny.

On wraca z kuchni.

On – Niż kto?

Ona – Niż wcześniej. A wcześniej byłeś inny niż reszta. U ciebie to wyszło na odwrót, najpierw się zmieniłeś, a potem straciłeś włosy.

On – Ogolili mnie na siłę.

Ona – Mnie już nikt do niczego nie zmusi, nikt.

On – Mnie też. Ta dyrektorka to suka była.

Ona – Ja cię zmuszę, żebyś nie wyłaził z domu.

On – Ja w ogóle nie lubię wychodzić. Gdyby nie ta zmiotka...

Ona – Zobacz wodę, czy już dobra.

On – Jeszcze chwilę.

Ona – Żeby tylko wrzątek się nie zrobił.

On – Będzie jak lubisz.

On wychodzi znów do kuchni. Ona zapala papierosa.

Ona – Pamiętam jak młodego chciała ze szkoły wyrzucić, bo puścił nadmuchanego kondoma na lekcji. Pamiętasz? Nauczycielki nie było wtedy w klasie, bo poszła na zaplecze, ale pech chciał, że dyrektorka miała do niej jakąś sprawę i weszła do klasy akurat w tym momencie kiedy guma o tablicę plask... No i chcieli młodego wywalić ze szkoły. To jej tłumaczę, że tu przecież jedna szkoła jest i jak go wywalą, to on do innej nie pójdzie, a obowiązek szkolny jest? No jest. A dyrektorka, że jej to nie obchodzi, bo degenerata ona w swojej szkole nie chce. A ja mówię jak to tak, że degenerat, a zrobił on co komu? Pobił kogo? Jak na przykład bliźniaki wójta sprawy tego chudego Krystiana, bo mówił, że one powinny się podzielić quadem ze wszystkimi, którzy chcą pojeździć, bo innych nie stać i ich to boli, kiedy tak te dwa grubasy po wsi się rozbijają i hałasują i kurz wzniecają, ale przede wszystkim to zazdrość. No i za którymś razem nastukali chudemu Krystianowi i on kilka tygodni kulał od tego. Ale to wtedy żadnego oburzenia nie było, chociaż dyrektorka wiedziała, dlaczego Krystian do szkoły nie chodzi i czemu w szpitalu leży i kto go tam wysłał. Czyli że jak spuścisz komuś łomot to nie jesteś degenerat, ale jak nadmuchasz kawałek gumy to jesteś? A jak woźnego złapali na podglądaniu dziewczynek pod natryskiem, przez dziurę w pakamerze, to mu tylko klucze od pakamery zabrali i nawet chyba żadnego opierdolu nie dostał, chociaż ja nie wiem, czy nie dostał, ale pracuje tam dalej? Pracuje w szkole, gdzie nasze dzieci chodzą codziennie. Ale wiadomo, że syna wójta...

On – I ty jej to wszystko mówiłaś?

Ona – To wszystko, to ja sobie pomyślałam, kiedy prosiłam ją, żeby wybaczyła gówniarzowi błąd młodości, dała mu jakąś karę, jakieś prace społeczne...

On – Teraz nie ma prac społecznych.

Ona – To było lata temu.

On – Wtedy też już nie było.

Ona – No, ale jakieś gazetki szkolne robią, bo widziałam na korytarzu coś o papieżu. O tym prawdziwym. Jakieś sprzątanie wokół szkoły, czy coś. Mówię jej, że będzie trzeba gówniarza wozic do Podbięcic 30 km, a nikt na to czasu, ani pieniędzy nie ma i mówię żeby się ulitowała, jeśli nie nad młodym durniem, to nad ojcem i matką głupka.

On – O puszczalskiej też wspomniałaś?

Ona – I pomyślałam sobie potem, jak już waszego gówniarza znów wzięli do szkoły, że nie powinnam się tak przed nią płaszczyć, że powinnam wymagać, bo ona ma pracę dzięki naszym dzieciom.

On – Jak bóg...

Ona – O, jakby każdy z nas odwalał taką fuszerkę w robocie jak bóg, to byśmy w syfie i gnoju z głodu padli.

On – Nie mów tak...

Ona – A ona do mnie: ty myślisz, że ja nie pamiętam, co twój brat wywijał? Jak tłukł innych i psuł wszystko, co tylko dało się popsuć? Jak wpychał zapałki do zamków, żeby nie można było klasy otworzyć, żeby lekcji nie było i żeby z kolejnego sprawdzianu pały nie dostał? (*do Niego*) Jak spaliłeś włosy Bożenie, co miała grzywkę na lakier, i jak potem ukradłeś dla niej radio ze świetlicy, żeby na policję cię nie dała.

On – Wszystko suka pamiętała.

Ona – O radiu to nie wiedziałam.

On – Wiedziałaś, wiedziałaś, tylko zapomniałaś. Jakby to miało znaczenia jakieś, co ja tam robiłem, a co mój syn teraz. Wtedy...

Ona – Te nauczycielki to szatańskie plemię, mówię ci. I jeszcze powiedziała, że zawsze nie żałowała nas z powodu ciężkiej ręki ojca, dzięki temu mówiła, w ogóle szkołę skończyliśmy...

On – Kiedy ja go widziałem ostatnio?

Ona – Kogo? Ojca?

On – Sylwka.

Ona – Jak byli u dziadków na Wielkanoc.

On – No, tak.. Widziałem przez pole, jak wysiadał z tego dużego, czarnego wozu, wielkiego jak ciągnik. Ino się cały błyszczał. Malutki się przy nim wydawał.

Ona – Ma już siedemnaście lat

On – Czternaście!

Ona – Siedemnaście, a w kwietniu będzie miał osiemnastkę.

On – Nie wyglądał na siedemnaście.

Ona – Wyglądał nie wyglądał, kalendarz nie kłamie.

On – A ona taka jakaś, też pokurczona była. Sfilcowana jakby.

Ona – To przez to duże auto. Amerykańskie. Ci to już w ogóle umiaru w niczym nie mają. Po co mu taki wielki amerykański ciągnik w mieście? Może przy nim wszystko się mniejsze wydaje i problemy pewnie też.

On – Jakie on ma problemy?

Ona – A choćby z twoim synem. Po takich rodzicach toż to musi być szatan, nie dziecko.

On – Fakt... Bożenka była ciężka jak droga do piekła.

Ona – A ty to lepszy... Ten biedny gach musi sobie jakoś osłodzić życie, kiedy takie nasienie mu podrzuciłeś.

On – Jakby mi dali, to bym go wychował.

Ona – Gównu byś wychował, a nie dziecko. Do psa żeś cierpliwości nie miał, a co dopiero do dzieciaka.

On – Pies mi w buty naszczał. Ale dziecko by mi przecież nie nalało do butów.

Ona – Twoje dziecko? Łałoby gdzie popadnie. I byś je zatłukł jak Azbesta.

On – Dziecka bym nie zabił.

Ona – Bo bym ci nie pozwoliła.

On – Bożenka by mi nie pozwoliła.

Ona – Ją byś zabił najpierw.

On – Ją bym mógł, ale dziecka nie.

On przynosi gar ciepłej wody, stawia na podłodze miskę. Ona pochyla się nad miską, a On zanurza w garnku kubek polewa jej głowę. Woda się błyszczy, mieni się, pluszcze. Skupia się w niej całe światło świata.

Ona – Idź narąb.

On – Jeszcze trochę jest...

Ona – Narąb na zaś. Będę słuchać. Przynajmniej będę wiedziała, że cię nigdzie nie poniesie.

On wychodzi.

SCENA 2

List

Słysząc z zewnątrz odgłos rąbania. Ona siada pod drzwiami, wyciąga z koszuli, spod serca list. Wyciąga z koperty kartkę i czyta, ale po chwili okazuje się, że zna to na pamięć.

Ona – Najdroższa! Tęsknie, tęsknię, tęsknię... Nie wiem, co innego mógłbym więcej napisać, kiedy tylko jedno mam w głowie i w sercu. Nie potrafię sobie wyobrazić życia bez ciebie. Piszę tak, bo to co się teraz dzieje, ta koszmarna rozłąka, to nie życie, to

czekanie. W chwilach najgłębszego smutku, najgłębszej tęsknoty, przypominam sobie zapach twoich włosów. Ten zapach jest jak medalik wiszący na mojej szyi. Nigdy mnie nie opuszcza, nigdy się z nim nie rozstaję, dlatego mimo że nie ma cię przy mnie blisko, tak blisko jakbym chciał, to jednak jesteś, jesteś TU ze mną, we mnie, na zawsze. Już nigdy nie będzie świata bez ciebie. *Gdzie skarb twój, tam serce twoje*, mówi pismo. I tyś jest moim skarbem i moim sercem. Już niedługo, kiedy tylko sprawy mi się tu ułożą, przyjadę po ciebie i już nigdy nie będziemy rozdzieleni.

Miasteczko do którego trafiłem jest ciche i przyjemne. Poznałem człowieka, który ma małą firmę przewozową i zaproponował mi pracę. Nie podaję ci swojego adresu, bo na razie nie mam stałego i pewnego miejsca, do którego mogłabyś słać listy. Ale przecież wiem, gdzie ty jesteś, gdzie na mnie czekasz. Czekaj, a pojawię się niebawem i wtedy cały ten trud, cały ten ból, to wszystko, będzie nam stokrotnie wynagrodzone. Całuję cię tak gorąco, jak cię będę całować, gdy znów się spotkamy.

Twój M.

W pewnym momencie, podczas recytacji listu, dźwięk rąbania ustaje.

Ona – Tyle lat... Siedem lat czekam na ciebie. Może tyś tam gdzie pobłądził, może coś ci się stało, trzeba by pójść sprawdzić popytać? Zostawić tę suchość, ten susz wszeteczny. Znaleźć cię i ukoić...

SCENA 3

On sam w domu. Siedzi przy stole. Szlifuje talerze papierem ściernym.

On – „Ojcie nasz...” – nasz, nas wszystkich, mój, Zagara i Stopy? Rodziców naszych? Dziadków? Ich dziadów? Da się być dobrym rodzicem dla tylu ludzi? Nas była tylko dwójka, a starym i to nie wyszło.

On – „któryś jest w niebie...” daleko, bardzo daleko, jak w podróży służbowej, z której się nie wraca.

On – „...święć się imię Twoje...” – święć się, święć... Tego ci potrzeba? Modłów naszych, wychwalania, klękania, padania na twarz? Tego właśnie chcesz?

On – „...przyjdź Królestwo Twoje...” na co czekasz? No przyjdź, pokaż jak to wszystko powinno wyglądać, bo nam tu nie bardzo idzie.

On – „...bądź wola Twoja...” twoja, oczywiście, że twoja, bo czyja? Moja? Jej? Malicza? Birunia? Trutego Woronia?

On – „...jako w niebie, tak i na ziemi ...” – a czemu nie odwrotnie? Skoro wola twoja i tam i tu...

On – „...chleba naszego powszedniego...” – niczego już nie ma powszedniego, ani chleba ani wody. Niczego. Jedyne co powszednie, to kurz, to pył.

Odkłada talerze. Wstaje od stołu, oczyszcza go rękawem i zaczyna zamiatać podłogę.

On – „...daj nam dzisiaj...” – to błaganie trzeba odnawiać codziennie.

On – „...i odpuść nam nasze winy...” – co nam odpuszczać? Nie ma nam co odpuszczać. My jak ta krowa w oborze, żremy, co nam w koryto spadnie, sramy tam, gdzie stoimy i znosimy cały ten upadek, tak długo jak się da. Kto tu jest winny, niech pierwszy się w rzekę rzuci. Ale rzeka wyschła. Wyschła nasza Zgniłka.

Podczas zamiatania zatrzymuje się w kącie pokoju. W samym rogu na podłodze stoi garnek, ciężki ceramiczny gar, służący kiedyś do robienia kiszzonej kapusty. Teraz jest zakurzony, zawalony jakimś pierdołami. On odsuwa garnek z rogu i patrzy w odstłonięty kąt podłogi. Po chwili powoli kuca, grzebie chwilę w kącie, nie widzimy tego dokładnie. Siedzi i myśli chwilę. Po czym znów grzebie chwilę w podłodze i wsuwa garnek na miejsce.

On – „...jako i my odpuszczamy naszym winowajcom...” – w życiu nikomu nie odpuściłem. Żadnej winy nie zapomniałem. Tego nie można wymagać, bo to nas uczy, to nas przestrzega. Nie podchodź do pijanego Birunia, bo cię zwyzywa, nożem potnie albo ci obojczyk połamie, a stołek połamie na obojczyku. I tak było, tak dokładnie było...

On – „...i nie wódź nas na pokuszenie...” – nie wódź nas... Tak mnie nauczyli. Tak ojciec z matką klepali i babcia z dziadkiem i sąsiedzi wszyscy. Zawsze błagali, żebyś ich nie podpuszczał. Żebyś nie podkładał na widoku sprzętów do kradzenia. Kobiet żebyś nie opinał w letni deszcz, mokrą koszulą. Oni od zawsze byli pewni, że to ty, to wszystko robisz. Ty, nikt inny.

On – „...ale nas zbaw ode złego...” – zbaw nas, mnie i siostrę, co to nie mieliśmy takich rodziców jak zbawiciel. On wszystko co najgorsze od świata dostał, ale rodziców miał dobrych. My z siostrą wszystko co najgorsze od naszych, obumarłych już na szczęście, rodziców. Ojca co czynił i matki, co nie patrzyła. To może zbaw nas wreszcie z siostrą. Już pies z całą resztą, z sołtysem, z Biruniem, ze Stopą, z całą szarańczą Woroniów i Matysów i ze ślepą wdową. Pies im lizał te zasuszone nienawiścią ryje. Amen.

SCENA 4

Ona wraca z butlami wody, odstawia je na podłogę, rozgląda się i nie może Go nigdzie znaleźć.

Ona – Jesteś? Jesteś?! Gdzie go znowu rzuciło?

Kiedy widzi, że jest sama, wyciąga list i zaczyna go czytać. Wtedy słyszy Jego głos. Ona chowa list w dekol. On wychodzi spod łóżka.

On – Dlaczego mamy go wielbić i błagać i przeproszać, skoro on jest wszechmądry, wszechdobry i wszechmocny? Po co mu nasze kajanie się? Nasze błaganie? Nasze prośby? To jak z tą suką dyrektorką...

Ona – Widzieli ją, podobno, w Podbięcicach czy gdzieś... Ktoś ją widział.

On – Mówiłaś już...

Ona – Ile to już będzie odkąd zaginęła? Pięć?

On – Dziesięć.

Ona – Osiem lat. Bo to było niedługo po tym, jak się puszczalska z dzieckiem do miasta zawinęła. Osiem lat... No tak... Chyba tak właśnie jest...

On – Uciekła...

Ona – A przed czym?

On – Nie przed czym tylko od czego?

Ona – To od czego?

On – Zdejmij buty.

Ona – Po co?

On – Zdejmij.

Ona – Nigdy nie kazałeś .

On – Bo nigdy nie włąziłaś na dywan.

Ona – I teraz nie mam zamiaru...

On – Zdejmij. Jest wystarczająco brudno. Ten kurz, ten pył, przeciska się szparami, jak ciasto wielkanocne.

Ona – Nie chcę, zaraz i tak idę...

On – Zdejmij. Ten kurz wchodzi tu dziurką od klucza. Najpierw jest skurczony, zebrany w sobie, jak prochy w urnie. Ale gdy tylko znajdzie się po tej stronie drzwi roznosi się, jakby go nad morzem rozsypać.

Ona – Będę szła...

On – Dobra, nie zdejmuj tych buciorów. Chodź tu.

Pokazuje jej miejsce przy oknie i zwija dywan tak, że robi przejście po gołej podłodze do okna. Ona idzie do okna powoli, niepewnie.

On – Pobłysk fal na czystej rzece. Gałęzie zgarbione ciężarem owoców. Pikniki wesołych rodzin, rozłożone na gęstej jak sierść trawie. Stado pełnych mleka krów. Tłuste gęsi i rozgdakane kury.

Ona – O co ci chodzi?

On – I nieobsrany przystanek, na którym zatrzymuje się kilka autobusów w tygodniu. Widzisz to tam?

Ona – Byłeś dziś na słońcu?

On – Nigdzie nie byłem, bo tu nie ma gdzie pójść! Bożenka nie uciekła gdzieś, dokądś tylko stąd, od tego uciekła, w pizdu i jeszcze dalej.

Ona – Osiem lat temu jeszcze prywaciarz stawał na przystanku.

On – No właśnie.

Ona – To możliwe.

On – To pewne.

Ona – Nie nabrudziłam bardzo.

On – Nie rozróżnię twojego brudu od swojego.

On rozwija dywan z powrotem.

Ona – Widzieli Starego Lato...

On – Kto?

Ona – Kto? Ktoś, ludzie, nie wiem...

On – Z kim gadałaś?!

Ona – Listonosz mówił, że ktoś mu nagadał, że Stary Lato wraca. Ktoś z nim gadał w Podbięcicach.

On – Ktoś z nim gadał?

Ona – Tak.

On – Kto?

Ona – Nie wiem, ktoś...

On – I co?

Ona – Co, co?

On – I co powiedział temu komuś? Powiedział gdzie był?

Ona – Nie wiem.

On – Przez ten cały czas. Powiedział, gdzie był?!

Ona – No mówię, że nie wiem, co powiedział i czy cokolwiek powiedział. Ludzie tak gadają. Listonosz tak papie...

On – Najpierw dyrektorka, teraz Stary Lato...

Ona – I Anitka.

On – Anitka?

Ona – Anitka. Pamiętasz Anitkę?

On – Nie. A czy Stary Lato był razem z dyrektorką?

Ona – Nie pamiętasz Anitki? Taka gówniara była...

On – Oni się raczej nie lubili, Stary Lato z nauczycielką...

Ona – Starego Lato nikt nie lubił.

On – Nikt?

Ona – Nikt.

On siada na łóżku.

On – Nie ma grzechów niewybaczalnych.

Ona – Co?

On – Tak powiedział kiedyś ksiądz.

Ona – Jaki ksiądz?

On – Nasz ksiądz, ten ostatni. Potem już żadnego nie przysłali. Nie było sensu.

Ona – Kiedy ci to powiedział?

On – Nie wiem. Kiedyś. Po mszy.

Ona – Nie chodziłeś na msze.

On – No to pod sklepem. Nieważne. Nie pamiętam. Nieważne. Powiedziałem mu, że najważniejsze pytanie to: czy jest piekło? Czy istnieje? A wtedy on powiedział: że nie ma grzechów niewybaczalnych, bo człowiek jest za mały, żeby zrobić coś co przerazi miłość boga. Można zrobić coś złego. On nam wtedy zada pokutę, ale wybaczy. Bo miłość boga nie ma granic. Odpowiedziałem, że to tak jak z okrucieństwem, ono też nie ma granic. A on powiedział, że bóg nigdy nie jest okrutny. A ja mu, że nie myślałem o bogu.

Ona – Nie mówiłeś mi nigdy o tym

On – O czym?

Ona – O tym wszystkim, o tej rozmowie, o...

On – Rozmowa jak rozmowa... O czym można z księdzem gadać?

Ona – Ale mi o tym nigdy nie mówiłeś, że z nim gadałeś. Kiedy to było?

On – Nie pamiętam, mówię. Jakoś przed jego wyjazdem. Chyba. Po co ci to wiedzieć?

Ona – A po co ci było o tym nie mówić?

On – Ważniejsze jest, że jeśli miłość boga nie ma granic, jeśli nie ma grzechu nie do wybaczenia, to czy istnieje piekło? Chyba nie...

Ona – Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś wtedy?!

On – Coś ty oszalała? Czepiła się człowieka i szarpie i szarpie.

Ona – Bo mi wszystko zawsze mówiłeś. Wszystko. Co nawet najgłupsze. A tego nie?

On – Co ja ci głupiego kiedy mówiłem? Chyba, że w kibli są szczury i mogą ci do tyłka wejść, jak srasz. To ci mówiłem kiedyś. Toś chciała znów na nocnik robić, a miałaś już z 10 lat. To ci powiedziałem. To tak, to głupie było, ale i śmieszne...

Ona tężeje.

Ona – Chciałeś mieć małpkę pamiętasz?

On – Co? Kiedy?

Ona – Zobaczyłeś gdzieś w telewizji kogoś z małpą w domu i chciałeś mieć małpkę.

On – Kiedy?

Ona – Kiedyś. Dawno temu. Ja miałam warkocze, a ty bardzo krótkie włosy. Chciałeś mieć małpkę, taką żeby robiła sztuczki, siedziała ci na ramieniu i wkładała ci kawałki banana do buzi. Bo to widziałeś gdzieś w telewizorze.

On – Nie chciałem.

Ona – Chciałeś. ale nie mogłeś mieć małpki. Nikt we wsi nie miał małpki. Nie znaleźliśmy nikogo, kto by miał inne zwierzę niż psa. Nawet kotów się nie trzymało w domu. U Biruniów się suka oszczeniła. Większość poszli topić, ale jednego mi dali. Przyniosłam ci szczeniaka. To nie była małpka, ale psa też można nauczyć sztuczek. I był miły. Musieliśmy go chować, żeby go nie zobaczył. A potem nagle szczeniak zniknął.

On – Nie zdążyłem mu dać imienia.

Ona – Karaluch.

On – Co?

Ona – Nazwałeś go Karaluch.

On – Nie.

Ona – Nazwałeś go Karaluch.

On – Nie. Co za głupie imię.

Ona – Lepsze niż Murzyn czy Rambo.

On – Nie, nieprawda.

Ona – Tak było.

On – Nie zdążyłem mu dać imienia, bo uciekł.

Ona – Nazwałeś go Karaluch. A kilka dni później ojciec go utopił w rzece. Bo mu śmierdział. Powiedziałam ci, że uciekł. Ale nie uciekł. Nie pamiętasz?

On klepie, gładzi, poduszkę i wstaje z łóżka.

Ona – Gdzie idziesz?

On wychodzi.

Ona – Porąb, porąb... To ci dobrze zrobi.

SCENA 5

List 2

Ona siedzi na podłodze, oparta o drzwi. W rękach ma list. Z podwórka słychać rąbanie.

Ona – Najdroższa. Tak jak pisałem wcześniej, wszystko układało się po mojej, po naszej myśli. *Zaś dzień Pana przyjdzie jak złodziej w nocy. W nim niebiosy przeminą z wielkim hukiem, a ciała niebieskie będą płonąć oraz zostaną roztopione; także ziemia i prace na niej zostaną spalone. Takie jest zniszczenie tych wszystkich.* I tak jak opisał to w Nowym Testamencie Piotr, ziemia pod moimi stopami zapłonęła.

W sklepie, w którym się zatrudniłem i który zapewniał mi dość wygodny pokój, doszło do kradzieży. Wyobraź sobie, że to ja zostałem o nią oskarżony, bo pracowałem tam najkrócej. Na nic by się zdały moje tłumaczenia. Musiałem uciekać stamtąd po nocy, właśnie jak złodziej. A, że ucieczka była nagła zostawiłem tam też wszystkie pieniądze, które uzbierałem na zorganizowanie naszego nowego życia, więc wszystko znów przesunie się w czasie.

Wiem, że ty w swojej wielkoduszności i miłości, mogłabyś przyjechać do mnie i w tej chwili i tułać się wraz ze mną po wsiach i miasteczkach w poszukiwaniu pracy i miejsca, gdzie można złożyć głowę. Ale proszę cię, zrozum mnie. Jesteś miłością mojego życia i nie wyobrażam sobie, jak mógłbym zapraszać cię do takiej niepewnej codzienności. Może kto inny mógłby, ale nie ja. Jak mówił nasz pan, Jezus Chrystus: „*Lisy mają nory, a ptaki niebieskie – gniazda. Ale syn człowieczy nie ma miejsca gdzie głowę mógłby położyć.*”

Nic nie jest takim, jak to sobie wymarzymy. Nasze modlitwy nie są po to, żeby Bóg je wysłuchał i spełnił. Są po to, żebyśmy mieli odwagę powiedzieć głośno o tym, co nas uszczęśliwi i czego pragniemy, a co za razem oddzieli nas od Boga grubym murem samozadowolenia. Bóg nas kocha i dba o to, żebyśmy nie wpadli w jałowość szczęścia. Dlatego każdą kolejną przeciwność w naszych planach rozumiem jako dobro, które na nas spływa. Choćbyśmy się już mieli nigdy nie spotkać, nigdy nic nie rozdzieli nas bardziej niż nasze własne oczekiwania wobec siebie wzajem.

Nie możemy dziwić się jego planom wobec nas, kłamców i grzeszników. Tak jak on nie powinien się dziwić naszym uczynom, bo takimi przecież nas stworzył. Być człowiekiem oznacza być Antychrystem. Piszę ten list i widzę, że jest przepełniony smutkiem. Ale jaki ma być, kiedy nasze spotkanie znów się oddala? To się zmieni już niebawem, czuję to, wierzę w to. A ty, błagam, wierz we mnie i nie trać tej wiary, a kiedy się w końcu spotkamy, miłość nasza zakwitnie jako to ziarno gorczycy, co ku zdumieniu wszystkich obrodziło w piękne drzewo, a w jego koronach zamieszkały niebieskie ptaki.

Całuję, kocham, wierzę w nas.

Twój M.

SCENA 6

On, sam w domu, zamiata.

On – „Ojczy nasz...” – ojczy nasz? Ktoś to sprawdził, żeś nasz?

On – „...któryś jest w niebie...” – dalej już się nie dało się uciec, co?

On – „...święć się imię twoje...” – dlaczego? Komu to potrzebne? Nam? Tobie?

On – „...przyjdź królestwo twoje...” – przyjdź królestwo two... Czyli śmierć? Czy to jest błaganie o śmierć? Błaganie żeby to, co tu, żeby już się skończyło?

On – „...bądź wola twoja...” – a mamy inny wybór?

On – „jako na niebie tak i na ziemi...” – to i tam i tu tak samo? Jeśli tam, tak samo jak tu, to nic dobrego nas tam nie czeka, nic.

On – „...chleba naszego powszedniego daj nam...” – niczego innego nam nie dajesz, to po co nam ten chleb? Żeby dłużej cierpieć?

On – „...daj nam dzisiaj...” – nie dawaj go już nam, ani dziś ani wcale! Zabierz go nam, teraz, dzisiaj, już!

On – „...i odpuść nam nasze winy...” – nasze winy to twoje błędy, odpuść więc sobie sam.

On – „...jako i my odpuszczamy naszym winowajcom...” – tak jak i my odpuszczamy tobie.

On – „...i nie wódź nas na pokuszenie...” – do kogo w końcu ta modlitwa? Do tego dobrego, czy do tego złego?

On – „...ale nas zbaw ode złego...” – od zła, które stworzyłeś, zbaw nas. Od zła, które daje powód istnienia twego, zbaw nas. AMEN.

SCENA 7

Noc. Słychać grzmoty burzy i ulewę. Ona jest sama. Wychodzi na chwilę. Wraca. Wnosi do domu miskę i wiadro z deszczówką. On przychodzi w końcu, pobity, przemoknięty i ślania się na nogach.

Ona – Gdzieś ty polazł? Co się stało?

On – Uciekł mi...

Ona – Kto?

On – Chciałem go nauczyć sztuczek... Karaluch... Karaluch... Karaluch do nogi... Karaluch goń patyk... Karaluch pilnuj... Karaluch leżeć... Karaluch bierz go! Bierz go! Bierz!!!

Ona – Co ty gadasz? Ile razy mam powtarzać? Tam nic dla ciebie nie ma. Nic, co by ci mogło... Tutaj masz co robić. Zamiatać masz, żeby choć tu był porządek, kiedy tam taki syf i burdel. Tu miało być czysto. Bo tutaj możemy cokolwiek i ty miałeś tego pilnować. Gdzie żeś polazł?

On – Przypomniałem sobie... Uciekł mi, wtedy... Karaluch... A ja go nie szukałem, bo się bałem, że jak mnie za długo w domu nie będzie...

Ona – Co się stało?

On – Przypomniałem sobie...

Ona – Co?

On – Kurz opadł... I rozgryzłem ten durnot świata, dlaczego to wszystko tak niezborne. Źle się modlimy, od setek lat. Złe prośby wysyłamy w niebo. Ojczy nasz... Ojczy... Czemu

ma nas tylko „nie wodzić”? Trzeba żeby nas zostawił w spokoju. Nic tu dobrego z tego jego nadzoru nie idzie. Tyle lat niby, tyle lat, a tu coraz gorzej. Jedyne co dobre, że nasz ojciec z matką się zawinęli zanim nam wszystkie kości połamali. Ale czy to jego robota? Nie! To robota bimbru, papierosów i śpiwora. Zawsze palił w łóżku i to musiało kiedyś... Ale mogło przecież wcześniej. Mogło przecież... Chociaż mogło i później... Ale to tylko potwierdza: „Zostaw nas w spokoju”, tak się powinniśmy modlić, takie słowa powinny brzmieć w kościołach, na polach, na cmentarzach i w domach... Zostaw nas wreszcie w spokoju, ojciec nasz... Idź się napić, zapal sobie i daj nam wreszcie święty spokój...

Ona – Mózg ci chyba wybili, bo głupoty gadasz. Kto cię tak załatwił?

On – Wstaję patrzę i nie ma go, nie ma...

Ona – Nie ma?

On – Ciała!

Ona – Co się stało?

On – Miało być... Miało być... Ale nie ma....

Ona – Skąd ta krew? To twoja?

On – Co?

Ona – Krew masz na rękach, na głowie, na piersi. To twoja?

On – Może i moja... Pewnie moja... Miała być nie moja, miała być tamtego...

Ona – Którego?

On – Księdza... On też wrócił...

Ona – Jaki ksiądz, gdzie? Jak tu kościół pusty stoi od kilku lat.

On – Skoro Lato, wrócił i dyrektorka to ksiądz też mógł...

Ona – Nikt nie wrócił ludzie bzdury gadają, a listonosz je roznosi, bo taki jego głupi zawód....

On – Do Woroniów przyjechał, nie wiadomo po co...

Ona – To ich siostrzeniec albo brat szwagra, nie pamiętam.

On – To był ksiądz, tylko...

Ona – Siostrzeniec. Rodzice mu się rozwodzą. Dobry gest Woronie zrobiły. Co z nim?

On – Nie wiem jak się tam znalazłem... Przy ich starym wychodku, w szczawiu. Tam u nich taki gęsty, wielki szczaw rośnie. Wysoki na metr albo i więcej. A oni nic go nigdy nie, ani na zupę, ani na pogryźć. Nikt mnie nie widział. Za to ja widziałem, jak Woroń jęczy

przy zaparciu, jakby się żwiru obzarł. A ty wiesz, że on mi kiedyś mówił, że jego stara go podtruwa? Tak mi mówił... Że nic co z jej łapy to on nie zje. Córce każe robić, a Woroniowa ma zakaz i w chlewie je, nie z resztą rodziny tylko ze świniami. Powiedział póki mu nie przejdzie ta trucizna z kiszek, póty ona będzie ze świniami żreć. No, a jak mu przejdzie, to wtedy będzie pewien, że to ona go truła. A jak nie przejdzie? zapytałem. Będę tak długo cierpliwy, aż przejdzie powiedział...

Ona – Co z chłopakiem?

On – Przyszedł niedługo po Woronie, ale nie żeby robić. Minął wychodek, schował się za nim tak, że go z chałupy widać nie było i stał. Stał tak i patrzył gdzieś bardzo... Ale patrzył tak, żeby nie widzieć. Bom jak wyszedł ze szczawiu to prawie wprost na niego, a on nic, ani się przestraszył, ani nic. Widać tylko powodu szukał, żeby z chaty wyjść pod moją pałkę.

Ona – To żeś go jednak...

On – Jednym ciosem... Wtedy spadł deszcz... Jak na komendę, jak na znak jaki. Łać zaczęło wiadrami, wannami. A on jakby znikł w tej samej chwili. Ale nie znikł tylko spadł na ziemię taką stertą, taką małą kupką ubrań, kości, mięsa. I wtedy zobaczyłem, że Woroń na mnie patrzy i nie wierzy oczom własnym, trutym przez żonę. Nie poznał mnie, bo ciemnica i ulewa, ale mnie zobaczył. Zobaczył, com zrobił. A za chwilę Woroniów była wkoło cała chmara, i nawet ta kurwa z chlewu wyszła z widłami. Tu mi dziury zrobiła w nodze...

Ona przynosi bimber w butelce i opatrywać go zaczyna, ale bez zbędnej delikatności. On od polania nogi bimbrem, aż ją odepchnął.

Ona – Daj tu... Nie zauważyłeś go?

On – Wszyscy już robili przed nocą, więc myślałem, że... Ale trucizna Woroniowej mnie dopadła. Ta, co się Woroniowi po kichach tuła.

Ona – A chłopak?

On – Nie wiem. Potem już dużo nie widziałem. Przez ten szczaw, przez deszcz. Tam się wywaliłem po raz pierwszy. Alem im się wysmoczył spod kijów. Padałem potem jeszcze kilka razy, aż do Zgniłki dopadłem, tam mnie nie śmieli dojść. Psa mieli, a i on też nie poszedł za mną.

Ono – Bo to ściek najgorszy, co to niesie wszystko co mleczaśnia wypłuje i garbarnia wysra. Jak całe to ścierwo, obudzone wodą, do krwi ci wejdzie, to zakażenia będą cię toczyć.

On – To był on... Prawdę mówią... Wracają wszyscy... Wracają... Byli tam...

Ona zostawia go i zaczyna rozpalać świece po izbie.

Ona – Mówiłeś... Szedłeś drogą?

On – Teraz to też rzeka, nie droga.

Ona – I co widziałeś?

On – Nic prawie. Dlatego mnie nie dogonili, bo jak wyrwałem do Zgniłej i wyszedłem po drugiej stronie, to ani oni mnie, ani ja ich nie widziałem.

Ona – A co widziałeś?

On – Płynęło wszystko. Przeze mnie. Przez, przez głowę i plecy, przez buty i stopy i ... Cała ta woda leciała do mnie... I ciążyło mi to... I podobało mi się...

Ona – A droga jak wyglądała?

On – Gładka i coraz gładsza. Gliniasta ta nasza ziemia, to ją woda poleruje. I spływa dalej poboczem.

Ona – A ty środkiem...

On – No, a gdzie? Miałem się jeszcze w koleinie topić, jak tam i po kolana było i szumiało.

Ona – I nikogo nie widziałeś?

On – Ci za mną znikli za deszczem, a nikogo nie minąłem.

Ona – A przed tobą droga gładka... Ta droga, którą mogliśmy w cały świat iść, a my tylko do Czychajek i Podbięć chodzili.

On – W gminie przecie też byłeś i w powiecie w szpitalu jak ojciec... Cośmy sobie wtedy szwy wzajem zrywali, żeby tam dłużej pobyc.

Ona – Tam w kiblach strasznie śmierdziało czystością.

On – Tak i żarcie było gorsze niż dla świń.

Ona – Ale nikt go nie zabierał.

On – I trzy razy dziennie.

On – Zanim się połapali, czemu nam się to wszystko nie goi, to trzy tygodnie tam byliśmy.

Ona – Szesnaście dni.

On – Albo i tyle.

Ona – Do całego świata z mordu mogłeś iść...

On – Ale co ja tam miałbym... Gdzie ja tam... Kiedy wracają... I była tam, była Musiałowska...

Ona – Dyrektorka?

On – Była tam z nimi, widły miała... I mnie tymi widłami... Sama wiesz, że jej się zbierało od tylu lat. Nas gnębiła i wyzywała od debili, nieuków. Nigdy nic dobrego. A wiedziałaś, że ten jej mąż to podobno ma dziecko w mieście z inną. I co taka baba co dziecka sama nie miała, co ona może nauczyć, jak ona nie rozumie się na dzieciach, bo ich nigdy nie czuła, nie bała się o nie, nie zbijała gorączki, nie czuwała w nocy, nie...

Ona – I co z nią?

On – Przecież nie planowałem tego. Zima była... Zimę miałem zaplanować? I że się wywróci na drodze też miałem wymyślić? A przecież to wszystko się stało. I to, że bus nie przyjechał, bo zasypało, i to że ona musiała zrobić te kilka kilometrów pieszko, i to że się wywaliła na poboczu, bo pewnie ślisko było. Albo już zmęczona bardzo była. Bo przecież miała już ze sześćdziesiąt ponad lat.

Ona – Więcej.

On – Albo i nawet... I jeszcze na to wszystko ja tam jeszcze byłem. Co to już nie pamiętam ani skąd ani dokąd... I wyciągnęła rękę do mnie, bo wstać nie mogła, a ja nawet nie wiem skąd, podałem jej rękę i w tym samym momencie nadepnałem na szyję, nie mocno nawet i nagle taki mały chrzęst usłyszałem. A ona dalej patrzyła na mnie tymi bezwzględnymi oczami, co to nigdy żadnego błędu nam nie wybaczały i Sylwusiowi też nie chciała wybaczyć.

Ona – To nie o twoim dziecku teraz.

On – Ale o nim też właśnie. Bo skąd ja się tam wziąłem w ogóle? Dlaczego tam w tym śniegu się pałętałem? I skąd ja się wziąłem w Bożence mojej? Wszędzie tam mnie prowadziły ścieżki, które nie ja wydeptałem. I przecież mogłem ją podnieść z tego śniegu, ale jednak noga moja stanęła na jej gardle? Dlaczego? Przecież nie wymyśliłem tego, nie planowałem. Potem jak już było po, to zaciągnąłem ją do starej studni, tej co pierwsza wyschła jeszcze dawno temu, kamieni nawrzucałem, piachu nasypałem. Pogrzeb jak każdy inny.

Ona – Wody nam we wsi strułeś tym trupem.

On – Powysychały studnie przecież... Nic nie strułem.

Ona – Strułeś, wysuszyłeś... Jedno i to samo.

On – Marianka była potem... Trójka bachorów jej się utopiła w gliniance. Pamiętasz? Trzy, pięć i osiem lat. Jak w tej grze w karty. Najpierw wpadło najmłodsze, tamte chciały je ratować. Pewnie bały się tego, co im ojciec zrobi jak wróćą bez brata. No to nie

wróciły. Strach to bardzo zły doradca. Chyba, że chcesz wejść do płonącej stodoły, albo zaczepić pijanego Birunia. Wtedy strachu trzeba słuchać jak oka w głowie. To chyba nie tak. Marianka była smutna i robiła złe rzeczy. Głównie sobie. Przede wszystkim sobie, ale też i Biruniowi, bo to jednak jej mąż był, chociaż coraz bardziej rozpuszczony bimbrem. No i rodzicom swoim i Birunia. Bo cała wieś gadała o tym, co Marianka wyczynia w Czychajkach i Podbięcicach. Na zabawach, w dyskotekach i pod sklepami i na polanach i w ambonach z myśliwymi. Marianka chciała, żeby ją ktoś przebił w końcu, ale nie tam gdzie ją przebijali pijanymi nocami, pod płotami knajp i w rowach. Kiedy zobaczyła nóż powiedziała: bóg po mnie przyszedł. Ale potem zaczęła uciekać. Nie chciała do boga, do tego boga, co jej trójkę dzieci potopił i męża rozpuścił w kałużę śmierdzącego bimbru. Ale wtedy jej powiedziałem. Tutaj boga nie ma. Tutaj bóg nie dociera. Tutaj ja jestem. I zrobiłem to czego żaden bóg, przynajmniej z tych co się tutaj kiedyś pokazywali, nie mógł zrobić. Uwolniłem Mariankę, wypuściłem na wolność, za bardzo niedobre sprawowanie. Marianka powiedziała, w tych kilku ostatnich słowach, że to najlepsze rżnięcie w życiu jakie miała. Nie powiedziała tak. Nic nie powiedziała. Bo w ogóle, to ona mało mówiła. Podobno na ślubie kiwnęła tylko głową, zamiast rzeknąć „tak”. Jak ją znaleźli to się nikt nie zdziwił, że tak skończyła.

Ona – Dalej...

On – Przecież ty to wszystko wiesz...

Ona – Nie wiem, czy wiem... Nic nie wiem.

On – Musisz wiedzieć...

Ona – Nic nie wiem.

On – Czemu teraz?

Ona – A kiedy?

On – Ty chcesz mi tu spowiedź wycyganić. A ja nic nie muszę mówić. On wszystko wie, sam mnie do tego namawiał.

Ona – Ty to musisz usłyszeć, nikt inny.

On – To idź... Ja sobie powiem.

Ona – Gównu sobie powiesz. Będziesz się głupio mądrzył, ale do prawdy się nie zbliżysz.

On – Prawda jest taka, że to wszystko było dawno, bardzo dawno temu. Jak nie było tak sucho.

Ona – W życiu nie ma dawno i niedawno. Tak jak stół w kuchni nie ma dawnej i niedawnej nogi. I ty tak samo. Gadaj, bo czasu nie ma...

On – A gównu...

Ona – To też ci bóg kazał powiedzieć? Stary Lato...

On – To był zły człowiek, to każdy we wsi wie. Nikt za nim nie płakał. Nikt nawet nie drażył jakim cudem sam się na kosę nabił koniczynę rżnąc. Powiedzieli, że zasłabł i się wykopyrtał tak nieszczęśliwie, że się nadział. A ja go tam naszedłem jak się dowiedziałem co on, młodej od sklepowej zrobił. A sklepowa podobno wszystko wiedziała, tylko Stary Lato miał to pole, co jej dzierżawił, po dobrej cenie i ona nie chciała go zrażać. Tak mówili. Mówili też, że sama córkę przehandlowała za dobrą cenę dzierżawy. Ale w to nigdy nie wierzyłem. Kto by dwunastolatkę sprzedał dziadowi staremu. Jaka matka. To on sam dziecko zepsuł. Matka nic nie wiedziała. Mówię ci...

Ona – Pieniądze mu byłeś winien.

On – Ale to nie miało nic do rzeczy. Pieniądze mogłem mu oddać i potem zarżnąć, ale to głupie by było bardzo. To żem go zarżnął, a pieniędzy nie dał. Ale to nie chodziło o to przecież... Gdyby nie to, co zrobił... On przecież był chłop na schwał i bym zdrowia więcej z nim stracił, tylko że on przerwę miał w tej koniczynie i spał. To jak mu tę kosę wepchnąłem, to się tylko przebudził na chwilę i straszny smród mu z bebzona poszedł. To jeszcze znak, że to ścierwo było, a nie człowiek. Kto tak w środku śmierdzi, ten musi z czortem siadać do miski. To wzięłem jeszcze trochę koniczyny dla królów naszych. Wtedy mielimy króle, pamiętasz. Dobry uczynek złego zabić, dobry uczynek.

On milknie.

Ona – To wszystko?

On milczy.

Ona – Czy to już wszystko?

On – Głodny jestem.

Ona – Chleba se weź, soli...

On wstaje, krząta się po izbie. Bierze chleb, ale tak od niechcienia. Kroi kromkę. Kładzie nóż na stole.

On – Już wiem... Już wiem, co to wszystko. Po co to... Przecież tylko jak żem go huknął, to niebem aż zatrzęsło i zaraz lunęło, lunęło jak na oczyszczenie, jak na chrzest jaki ziemski. Po tylu tygodniach, miesiącach suchoty, duchoty, kurzu, lunęło... A ty wiesz, że ja przez ten deszcz to wogle uciec mogłem, on mnie schował, on mnie przykrył i Zgniłka od razu wezbrała, to mnie nie gonili przez jej śmierdzący bieg. Nic nam tu nie będzie. Nikt mnie nie poznał. Ty mi tu każesz jakoby spowiadać się, a On to wszystko widział i mi pomógł, i mnie schował i deszcz nam dał na mój znak!

Ona – Dziecko żeś zabił...

On – Ani, ani... Przecie mówię ci, że nic mu... A nawet jeśli, to jest to co miało być. Wyrzyj za okno i zobacz. To moja robota.

Ona – O Anicie mówię.

On – Co? Nie... Nie...

Ona – Nie? Nie kłam.

On – Słyszysz deszcz?! Czujesz to powietrze? Wreszcie jest czym oddychać! Po takim czasie. Czujesz to!? To co ty mi tu teraz? Wszystko jest, jak być miało.

Ona – Ale ona tego nie dożyła.

On – Co ty robisz? Co ty gadasz? Po co ty tak?

Ona – Mówiłam ci, żebyś nigdzie nie wyłaził. Zawsze mówiłam...

On – No i nie wychodziłem! Tyle czasu tyle miesięcy, a może lat, nie wiem, nie pamiętam. Zamknęłaś mnie tu.

Ona – Miałeś nigdzie się nie szwendać, nie szukać okazji, nie siać...

On – Sprawiedliwości!?! Bo tu tylko o sprawiedliwość się rozchodzi, o nic innego, żeby się zło po wsi nie ciągnęło, żeby nie zostawiało śladów w nas... To wszystko było jak być miało, nie rozumiesz?! Spójrz tam za okna, tam masz dowód! Inaczej bóg by mnie nie schował w strugach jak drzewa!

Ona – Jaka sprawiedliwość spotkała Anitkę, którą najpierw Stary Lato kupił od matki...

On – To on sam! On sam ją popsuł! Sklepowa nic do tego nie miała!

Ona – A potem ciebie na swojej drodze spotkała.

On – Jej tam nie było.

Ona – Gdzie?

On – No tam... W środku... Stary Lato ją ukradł, z niej, na zawsze. Tam nic nie było, w niej...

Ona – Kiedy?

On – Wtedy... Siedziała na tych starych skrzynkach za sklepem i paliła pety. To ja nawet nie wiem, czy to jakieś kiepy nie były. I mówię jej, że jest za mała jeszcze na papierosy, a ona wtedy podnosi z ziemi butelkę, ćwiarę znaczy i ją żłopać zaczyna, bez ani nawet większego skrzywienia. A to Starogardzka była, ścierwo najgorsze, a ona to jak wodę święconą, jak kompot babciny wypija. I patrzy się na mnie, a oczy jej jak dwa odpływy kanalizacyjne. I nucić coś zaczęła, ale jej się chyba myliło, bo ciągle zaczynała od nowa,

jakby za każdym razem miała nadzieję, że teraz jej się uda, że wpadnie w kolejną zwrotkę i dojedzie nią chociaż do refrenu. A z każdą próbą robiła się bardziej...

Ona – Jaka?

On – Miała na sobie jakąś kieckę, albo to był fartuch i jeszcze sweter miała na górze, ale tę kieckę czy fartuch podciągała trochę, najpierw do kolan. I patrzyła na mnie tymi dziurami ściekowymi w głowie, a jak nie zobaczyła we mnie poczynionego wrażenia, to jeszcze wyżej podciągała i nogi szerzej rozstawiła. Aż stuknęła we flaszkę butem i brzęk się trochę zrobił, ale nic więcej. Wstała po chwili i odeszła. Tam dalej, tam w głąb... Oni tam kiedyś chlew mieli i świnie. Ale to już dawno zarosło krzakami. I ona w te krzaki poszła. I zniknęła mi.

Ona – I co wtedy?

On – Wtedy wszystko się zaczęło układać. Zrozumiałem, że nic więcej jej tu nie spotka, oprócz mnie. To znaczy... Wiedziałem, że ona już ani nie odzyska oczu, ani duszy. Stary Lato ją zupełnie okradł, a może i kto inszy też. Dziecko nie powinno cierpieć pożądlivego wzroku dorosłych, nigdy, żadne, nigdzie, bo wtedy przestaje być dzieckiem, a dorosłym być nie będzie umiało, ani chciało. Bo wie, że oni zło sieją. I wtedy właściwie kończy się droga człowieka. Bo kim ma tu być potem na ziemi? Wrakiem tylko być może, ruiną w której zło zamieszka. To nie była jej wina, ale i jej już po prawdzie nie było, więc...

Ona – Znaleźli ją w chlewie, powieszoną.

On – Tak... Chyba tak...

Ona – Chyba?!

On – Bóg tak chciał. Trzeba było ratować to, co się dało, żeby cierpienia na świecie nie mnożyć.

Ona – Do całego świata iść mogłeś po tej drodze gładkiej. Do całego świata, a żeś tu przylazł, a za tobą...

On – Nikogo, mówię ci już który raz.

Ona – Za tobą droga zdrajca.

On – Jaka znowu?

Ona – Droga zdrajca, co to cały świat do nas przyprowadzi i mi jeszcze nieszczęście przyniesie. Zobacz swoje buty. Na gładkiej drodze wydrapałeś bliznę.

On patrzy na swoje ubłocone buty.

Ona – Nikt nie wraca! Nie może nikt wrócić stamtąd, gdzie ich twój gniew wysłał.

On – Ale przecież listonosz mówił...

Ona – To ja mówiłam...

On – Tu się nic nie stanie, słyszysz?! To wszystko jest jak być miało. Zobacz, tyle nie padało, a tylko żem go przetrącił. To przez niego to wszystko. To on boga zdradził, on boga rozgniewał i bóg go po raz drugi do mnie przyprowadził.

Ona – O czym ty bredzisz?

On – To był on!

Ona – Kto?

On – Ksiądz! Twój ksiądz!

Ona – Kto?

On – Twój ksiądz! Że niby wrócił jak pisałem, że wróci, ale... Nie mógł przecież, sama powiedziałaś. A to był on!

Ona – Co ty mówisz? Jaki ksiądz?

On – Twój ksiądz, twój M. z listów. Był tam, choć to niemożliwe!

Ona – Dlaczego niemożliwe? Skąd wiesz o listach? Skąd wiesz o listach?! Grzebałeś mi w rzeczach, w bieliźnie?

On – Wyglądał dokładnie tak samo jak wtedy, dokładnie tak samo, a ile to już lat przeszło? Tyle lat, a on wyglądał jakbym go dopiero wczoraj... A nawet młodziej!

Ona rzuca się do niego i łapie go za koszulę.

On – Coś ty zrobił?!
On ją odpycha.

On ją odpycha.

On – A na co ty pieniądze zbierasz?

Ona – Jakie pieniądze?

On – Te pod klepką, w rogu, pod starym garem. Chcesz wyjechać. Zostawić mnie. Mi gadasz, że płacą coraz mniej za naczynia, a tam w ciemnym kącie niezła sumka się zebrała. I to nie dla mnie, nie dla mnie. Tylko dla trupa.

Ona – Kłamiesz! Grzebałeś mi w rzeczach, listy czytałeś!

On – Pisałem! Każdy jeden!

Ona znów się rzuca na niego. On ją łapie i unieruchamia w objęciach.

Ona – Nie wierzę, nie wierzę, nieeeeee...

On – Nigdy się nie zdziwiłaś, że na każdej kopercie tylko pieczętka naszej poczty była, a nie żadnej miastowej? Miłość ślepa jest, miłość głupia jest, miłość samolubna jest. Jak mnie wtedy chciałaś zostawić i z nim uciec, to żem poszedł z nim pogadać, do lasu, przy kapliczce, i tam też został, pod ziemią. Grzeszny człowiek w świętym miejscu. Ty żeś to na niego sprowadziła. Ty, nikt inny.

Ona – Nie wierzę ci... Ty nie potrafiłbyś napisać takich...

On puszcza ją, podchodzi do swojego łóżka i wyciąga list spod pościana.

On – Żadnych pieczęci, żadnego znaczka, otwarty. Co tam może być? Poznasz pismo? Nie poznasz, nie możesz poznać, bo to ten jeden, który nie ja pisałem. Na nim się uczyłem. To jedyny list jaki miałaś od niego dostać... Wtedy, tamtego dnia...

On kładzie list na stole obok chleba i noża. Ona podchodzi do stołu. Patrzy się na list.

On – „Rozpiera mnie radość, że się spotkaliśmy i że oboje mieliśmy odwagę powiedzieć głośno o tym, co nas uszczęśliwi i czego pragniemy. Bóg lubi odwagę która płynie ze środka.” Chyba, że go nie ma...

Ona patrzy przez okno. Za oknami, w deszczu, w oddali migają jakieś światła. Słychać jakieś odległe głosy i szczekanie psa.

Ona – Na gładkiej drodze wydrapałaś bliznę.

Ona podchodzi do stołu, podnosi nóż.

On – Każdy może być bogiem, ale nikt tego nie zniesie. Bo jak się modlić do siebie, jak się modlić do człowieka, jak? Siebie prosić o wysłuchanie, siebie prosić o przebaczenie, siebie prosić o litość?

Ona – Tyle lat...

On – Zobaczysz. Teraz wszystko się zmieni. Teraz będziemy żyli naprawdę.

On patrzy na nią, na nóż, na okno. Ona ma łzy w oczach.

Ona – Bóg jest, bo ci za oknem w niego wierzą i idą tu po ciebie, niosą boską sprawiedliwość.

On – Mówiłaś, że idą i przyszli...

Ona – Mówiłam, że idą, bo chciałam żebyś się przestraszył, żebyś stąd uciekł, zniknął, z mojego życia... Żebyś przepadł... Tyle lat, tyle lat...

On chce do niej podejść. Ona się cofa.

On – Mój boże, mój boże... Chciałaś mnie opuścić, czemu?!?

Ona patrzy na niego trzymając wciąż nóż w dłoni.

On – Idę porąbać... Będzie na potem...

On wychodzi w deszcz. Zamyka za sobą drzwi. Po chwili ujadanie psa się wzmacza, głosy ludzkie też. Słychać głośne krzyki, przekleństwa, uderzenia. On zasłania okno zasłoną, podchodzi do stołu. Patrzy na list. Po chwili, bardzo ostrożnie otwiera go. Czyta.

SCENA 8

List 3 ostatni (czyli pierwszy i jedyny prawdziwy)

Ona czyta.

Ona – Wiem, że w swojej wielkoduszności, masz wątpliwość, czy możesz związać się z człowiekiem poślubionym Bogu. Ale uwierz mi, że gdyby On tego nie chciał to nigdy byśmy się nie spotkali. To jego jest wola i jego plan na nas. Bóg nas kocha i dba o to, żebyśmy nie wpadli w jałowość codzienności. Nie chce byśmy zmarnowali pokłady naszej miłości.

Od jutra nigdy nie będziemy rozdzieleni. Chociaż od naszego pierwszego spotkania wiem, że Ty jesteś TU ze mną, we mnie, od zawsze i na zawsze. Już nigdy nie będzie świata bez ciebie. Cokolwiek jeszcze się wydarzy wiedz, że cię kocham i to się nigdy, przenigdy nie zmieni, a wszystkie trudności, które nas spotykają, będą nam stokrotnie wynagrodzone. Kiedy tylko stąd wyjedziemy miłość nasza zakwitnie jako to ziarno gorczycy, co ku zdumieniu wszystkich obrodziło w piękne drzewo, a w jego koronach zamieszkały niebieskie ptaki.

Piszę ten liścik, bo właśnie odwiedził mnie twój brat. Cieszę się, że ta wiadomość trafi do ciebie już za chwilę. Powiem mu, że to lista parafian, którym zaoferowałam się pomóc przed świętami. Pomyślałem, że napiszę ci to wszystko, żebyś wiedziała, że nic się nie zmienia. Wyjeżdżamy jutro o świcie tak jak zaplanowaliśmy.

Ps. A!!!! Jestem szczęśliwy! Po raz pierwszy w życiu jestem naprawdę szczęśliwy! Rozpiera mnie radość, że się spotkaliśmy i że oboje mieliśmy odwagę powiedzieć głośno o tym, co nas uszczęśliwi i czego pragniemy. Bóg lubi odwagę która płynie ze środka, Jezus powiedział przecież „Królestwo boże jest w nas”, a to znaczy, że jest ono w Tobie i we mnie.

Całuję, kocham, wierzę w nas.

Twój M.

Ona przystawia list nad świecę. List płonie. Gaśnie. Ciemność.

KONIEC

Tekst nagrodzony w III edycji Konkursu o Nagrodę Dramaturgiczną im. Tadeusza Różewicza www.nagrodarozewicza.pl

© by Teatr Miejski w Gliwicach, 2024

© Łukasz Pawłowski, 2024

Wszelkie prawa zastrzeżone